Dodatek do „Gazety Narodowej”

z dnia 2 Września 1900.

Polacy a Sybir.

W mieszaninie ras, narodowości, wyznań i pojęć—pisze p. A. Nałęcz do warszawskiego *Słowa* z Omska na Sybirze—Syberya robi wrażenie Ameryki w początkach jej rozwoju. Jak tam, a obecnie w Brazylii zbierają się ludzie ze wszystkich stanów, tak i tutaj mamy, chociażby w naszem towarzystwie, Japończyków, Brazylijczyków i innych, że tak powiem obieżysasów z pośród naszej narodowości.

Japończykiem nazywam młodego Jordana, który, po ukończeniu szkoły technicznej w Omsku, oddał się pracy handlowej. Ojciec Jordana, syn zesłańca politycznego, dorobił się na Syberyi i w dziewiątym dziesiątku lat z żoną Sybiraczką-Polką przez Pekin, Jeddo (gdzie urodził się młody Jordan) powrócił do kraju. Tam rozpoczął gospodarkę wiejską. Po kilku latach, wobec występującej konkurencyi amerykańskiej, która wywołała znamienny kryzys rolniczy, spadek ziemi i zniechęcenie rolnicze, które trwa po dziś dzień, p. J. po utracie żony Sybiraczki porzucił wieś i rozpoczął rozmaite spekulacye handlowe. Ostatecznie na wieść o budowie drogi transsyberyjskiej powrócił tu z drugą żoną z Królestwa i obecnie z drogi zachodnio-syberyjskiej przeniósł się na budowę drogi mandżursko-chińskiej, gdy rodzina pozostała w Kursku.

Brazylijczykiem nazywam sklepikarza Sosnowskiego, który pochodził z Turka. w gubernii kaliskiej. Początkowo jako stelmach pracował po dworach okolicznych; potem w Łodzi; następnie udał się na wędrówkę fachową do Prus i dla zarobku do Ameryki. Z kapitałem amerykańskim w czasie gorączki emigracyi brazylijskiej udał się do Parany, gdzie stracił żonę Amerykankę i kilkoro dzieci na tyfus lokalny. Zrozpaczony powrócił do kraju, a obecnie tu na Syberyi ożeniony z Sybiraczką, prowadzi handel sklepikarski w mieście przy pomocy żony, sam zaś spekuluje i zamienia towary w stepie.

Afrykanmem nazywam od roku już nieobecnego p. Chojnackiego. Po wypadkach 1863 r. udał się do Francyi, poczem służył wojskowo w Algierze. W czasie wojny rosyjsko-tureckiej p. Ch. był instrunktorem wojskowym Bułgaryi; następnie służył w wojsku greckiem, podróżował po Wschodzie i po wojnie grecko-tureckiej przeniósł się do Rosyi. Od roku służy na granicy rosyjsko-chińskiej jako jeden z naczelników ochrony wojskowej od hunhurów jestto specyalna sekta rozbójników chińskich, coś w rodzaju azbeków na Kaukazie, budującej się drogi w Mandżuryi.

Do współczesnych typów ryzykantów i Robinsonów na naszych na Wschodzie należą bracia Botkiewicze z Poniewieża. Dla braku jakiegokolwiek fachu i patentu, wobec niemożności egzystencyi, postanowili, wbrew zwyczajowi, zamiast do Ameryki i Transwalu (gdzie ma być kilku Poniewierzan) udać się na Sybir. Obecnie, po trzech latach pracy, w czasie dokonanej roku ubiegłego reformy sądowej, młodszy Botkiewicz z aplikanta sądowego w Omsku skoczył na sekretarza sądu pokoju w okręgu ałtajskim, starszy zaś po dwuletniej praktyce i egzaminie jest obecnie rządowym geometrą w jednej z partyj mierniczych komitetu przesiedleńczego na Syberyę.

Moja lista wielorakich ryzykantów: Robinsonów, Don Kichotów i wogóle obieżysasów naszych doprowadza mnie do pewnych realnych wniosków szerszego znaczenia. Mianowicie Australczyk (Orzeszkowej), tylekrotnie wspominany, miał racyę bytu przed 20 laty, kiedy było dużo miejsca na gruntach Wól i Wólek, więc można było zakładać Stefanówki, Witoldówki itd.

Dziś nietylko Stefanowie i Witołdowie, ale Maćki i Wojtki, wszystko to — Australczycy. Przerobić ich na czystych, prawowiernych Mazurów nie w naszej mocy. Australczykami stali się pod wpływem nieprzepartych okoliczności. Otóż Warszawa, zamiast mówić tym Australczykom: „Siedźcie, dzieci, pijcie herbatkę z „kajzerkami“, a oszczędzajcie, aby Europa widziała na was cylinder w niedzielę,“ — lepiejby zrobiła, aby ich pociągała ku sobie i przywiązywała do siebie w inny sposób. Dziś lepiej aby na Krakowskiem Przedmieściu spotykali się polscy plantatorowie brazylijscy z polskimi czałdonami sybirskimi,(Czałdon — to Sybirak ze stepu, coś w rodzaju prowincyonalisty.) wszystko ludzie o pełnych i czerstwych twarzach, a energii w duszy, niż blade postacie z cylindrami na łysinach, o „kajzerce w żołądku, a zniechęceniem i apatyą w głowie i sercu. Mojem zdaniem, nic tak nie podnosi kultu dla rubla, jak gdy kajzerkowo-cylindrowe zastępy wciąż drepczą za miejscu.

Nie rubel stanowi cel życia, ale cała suma pragnień idealnych. To też dla nas, ludzi tradycyjnie mało pieniądz ceniących, wytwarza to smutny stan, wynaturzenie się narodowe, gdy na wzór społeczeństw sklepikarskich pieniądz ten stoi na pierwszem planie.

W naszej parafii katolickiej omskiej (która obejmuje przestrzeń cokolwiek mniejszą od całych Niemiec Zjednoczonych) w ubiegłym 1899 roku 126 par Sybiraków i Sybiraczek wstąpiło w związki małżeńskie; ochrzczono 412 dzieci, przyczem o 18 więcej chłopców, niż dziewcząt. Związków małżeńskich między Sybiraczkami a emigrantami zawarto 18, zaś przywieziono żon, że tak powiem poprostu, 5, z których dwie z Król. Pol. O tylu parafianach wiem, którzy jeździli po żony i narzeczone do kraju. Ogólna ilość katolików w parafii nie da się określić, ani stosunek katolików do innych wyznań, których tu bez liku, wobec znacznego kontyngensu rozmaitych sekciarzy, emigrujących dobrowolnie i od wieków przesiedlanych na Syberyę.

Profesor akademii

(Humoreska z podróży).

...Szedłem sam; bez przewodnika, na góry Droga prawdziwie alpejska Z obydwóch stron wysokie lasem porosłe skały, tak, że gnieniegdzie widać zaledwie mały rąbek błękitnego nieba. Co za rajskie powietrze!

Po dwóch godzinach drogi, uczułem się znużonym. Położyłem się na miękkim, puszystym mchu obok drogi, chcąc trochę odpocząć. Po chwili usłyszałem krzyk głośny, tentent i dźwięk mnóstwa dzwonków. Wyskoczyłem na drogę i i patrzę: Z zakrętu wypada w moją stronę co sił, młodzieniec w stroju ludowym, za nim pędzi stado pięknych krów i jałowizny, każde z dzwonkiem na szyi, za stadem biegnie dwóch pasterzy wyrostków, którzy popędzali batami krowy, śmiejąc się do rozpuku.

— Ratunku! ocal mnie pan przed śmiercią — wołał blady i strworzony nieznajomy, kryjąc się za mnie. Tymczasem rosłe i tłuste krowy biegły wprost na nas.

— Stratują nas! Rozniosą na rogach!... — jęczał młodzieniec, — Przyznam się, że na razie i mnie także zrobiło się niewyraźnie. Uciec nie było gdzie, gdyż o kilka kroków za nami stała wysoka skała. Machinalnie otworzyłem parasol. Krowy zatrzymały się na parę kroków przed nami patrząc na nas przyjaźnie. Nadbiegli zaraz i pasterze.

— Dlaczegoż pan uciekał? Chcieliśmy tylko p. zejrzeć się panu — tłumaczyli chłopcy wystraszonemu turyście.

— A te wściekłe krowy?

— Krowy nasze nic panu złego nie zrobią.

Chłopcy odpędzili stado, któro wolno poszło dalej drogą, a sami zaczęli przypatrywać się młodzieńcowi. A było czemu przyjrzeć się. Miał na głowie zielony kapelusik z pięknemi piórami, ubrany był w zieloną kurtkę i takież krótkie po kolana spodenki; na białej koszuli krzyżowały się ślicznie haftowane szelki, na nogach miał długie, zielone pończochy i cięż.o podkute trzewiki, jakie używa się do chodzenia na niebezpieczne lodowce. W ręku trzymał wysoki, ciężki kij góralski i z dumą pokazywał nam wyryte na kiju nazwy: „Dachstein“, „Matterhorn“, „Ortler“, „Venediger“. Otworzył przed nami torbę, w której obok książek i map leżały tabliczki czekolady, mięsiwo jakieś i butelka koniaku.

Zdjął zielony kapelusik z głowy i zapraszał nas na przekąsk .

— A tośmy się przelecieli: Prawie jak na wyścigach — śmiał się do pasterzy, odzyskując całą pewność siebie.

— Wyścigi człowieka z bydłem — mówił żartobliwie dalej — ale ja wygrałem, nie prawda?

Chłopcy napili się koniaku, nie spuszczając z turysty oka. Szeptali do siebie, trącali się, a gdy wreszcie napatrzyli się dosyć, wybąknęli na pożegnanie coś, co brzmiało jak podziękowanie i pospieszyli za stadem, które tymczasem odeszło tak daleko, że nawet nie słychać było dzwonków.

W podróży łatwo zawiera się znajomość; „profesor akademii taki a taki“ przedstawił mi się grzecznie mój towarzysz i dowiedziawszy się, dokąd idę, ofiarował się mnie doprowadzić.

— Możemy przenocować w hotelu, gdy przyjdziesz pan tam ze mną, dostaniesz ładny i tani pokój. Panu zapewne, przepraszam za ot wartość, idzie o to, aby tanio podróżować; nam tutaj nie zależy na dziesiątce. Rządzę się zasadą że w hotelu żądam komfortu i zbytku, lecz na wierzchołkach górskich i na lodowcach szukam największych niewygód.

— Panie kochany, mówił dalej, nie dając mi przyjść do słowa — tego co pan zamierzasz zrobić dzisiaj, dokonałem jako dziesięcioletni chłopiec, wtedy już wchodziłem na tutejsze szczyty; w rok później byłem już na wierzchołkach tamtych oto skał, zamykających dolinę.

Zatrzymałem się. patrząc na przykre, spadziste skały, sterczące z modrej doliny. Pociągnął mnie za rękaw.

— Chodźmy dalej! Co tam te skały. Dochodzą zaledwie 3.000 metrów, a dopiero od 3.000 metrów zaczyna się prawdziwa turystyka. Tamto — jest to łażenie mrówek po pagórkach. Panie złoty, gdybym panu opowiedział wszystkie swoje przygody, włosy by panu powstały na głowie ze zgrozy. W całym kraju nie ma ani jednego wierzchołka, którego bym nie wziął.

We wszystkich hotelach, we wszystkich schroniskach znajdziesz pan w księdze turystów moje nazwisko. Czego nie dokonaliśmy już — ja z tym oto kijem! Spędziłem wiele nocy w szałasach pasterzy; żywiłem się mlekiem, serem i suchym chlebem; błąkałem się po śnieżnych wzgórzach; nocowałem pod urwiskami skał, otulony pledem, w przemokłem ubraniu, obsypany szronem i śniegiem, ze skostniałemi rękoma; wracałem z wycieczek potłuczony i poraniony.

Miałem wokoło siebie mgliste chmury, pod sobą wartkie kamienie, usuwające się z pod nóg; przełaziłem przez mury lodowe, kroczyłem po wązkich ścieżkach, wstrzymując oddech, patrząc niewzruszonem okiem w głębię przepaści. Tysiące razy byłem blizki śmierci, a jednak coś ciągnie mnie z dusznego miasta w góry, z ludzkiego mrowiska między te niebotyczne szczyty, gdzie panuje wieczna cisza, gdzie powietrze czyste, jak kryształ, a lodowce stoją rzędami, jak białe duchy...

Doszliśmy do hotelu, gdzie zamówiliśmy dwa pokoje obok siebie i usiedliśmy na werandzie do kolacyi.

Profesor pod wpływem dobrego wina i ślicznej nocy, rozgadał się jeszcze więcej. Jedna tylko rzecz zastanowiła mnie, dlaczego ten nieustraszony podróżnik zląkł się tak bardzo dzisiaj stada poczciwych krów, ale wszystkie wątpliwości rozwiał profesor, kończąc barwne swe opis patetycznem okrzykiem: Piętę swoją postawiłem na łbach tytanów górskich!... Zwyciężyłem najniebezpieczniejsze lodowce! Przewodnika nie potrzebuję, nieznam w tych gurach strachu, ani bojaźni.

Rozstaliśmy się o północy, gdyż profesor czuł się śpiącym. O godzinie trzeciej nad ranem obudziła mnie nadchodząca burza. Zwyczajna, jak mi później mówiono, mała górska burza po upalnym dniu, ale ja wtedy nie znałem jeszcze górskich burz...

Piorun bił za piorunem, jakby hotel otoczony był strzelającą artyleryą, a każde uderzenie piorunu powtarzały góry pięciokrotnie. Hotel cały drżał, jak w febrze. Grzmoty wyły chwilami, jak dziki zwierz. Zielono-niebieskie światło błyskawic zalewało oczy.

Przyznam się, że ta nocna burza tak mnie zdenerwowała, że poprostu... bałem się. Zamknąłem oczy i schowałem się z głową pod kołdrę. Nagle usłyszałem gwałtowne stukanie do drzwi.

— Otwórz pan! Przez Boga i Wszystkich Świętych, otwórz Pan! Już dłużej sam nie wytrzymam. Toż to chyba sąd ostateczny nastaje... Zaklinam pana, otwórz!

Nie ruszałem się z łóżka, gdy jednak łomotanie do drzwi stawało się coraz gwałtowniejsze, i błagalny głos coraz rozpaczliwszym, poszedłem otworzyć. Odsunąłem zasówkę — przedemną stał w negliżu profesor blady, ze świecą w drżącej ręce. Wpadł do pokoju i gdy znowu piorun uderzył, tak że aż budynek hotelowy zadrżał w posadach, rzucił mi się na szyję, jęcząc:

— Ukryj mnie pan! Ja tak strasznie się burzy boję!

Burza w górach prędko przychodzi i prędko przechodzi. Po kwandransie wszystko się uciszyło. Otworzyłem okno — owiało mnie powietrze przepełnione ozonem. Odprowadziłem profesora do jego pokoju, zaledwie zdołał wyjąkać podziękowanie.

Rano, na śniadaniu, napróżno wyglądałem profesora. Zapytałem o niego służącego.

— Odjechał bardzo rano — odpowiedział mi, — ale zostawił dla pana bilet wizytowy.

Przeczytałem: taki a taki „profesor akademii krawieckiej“.

Ach, więc krawiec! Teraz zrozumiałem wszystko...

Na Kujawach.

Mazurzy z pod Warszawy i wzrostem i powznością siebie o wiele przewyższają Kujawiaków. Cechą zaś główną ostatnich jest szczególna dobroduszność i jakby pierwotna prostota w obejściu. W bliskości miast, przy ciągłem stykaniu się z ich mieszkańcami, cechy te zacierają się powoli, ale nie mogą zatrzeć zupełnie i są jakby nieodrodną częścią charakteru Kujawiaka.

5

Kto winien?

przez

Caruthersa.

(Ciąg dalszy.)

— Więcej nie dali. Chciałam koniecznie dostać trzydzieści franków, ale nic nie pomogło. A trzeba było przejść przez tyle formalności, jak gdyby chodziło conajmniej o ślub czy też o pogrzeb. Pytają o legitymacye, o adres, Bóg wie o co. Pytaniom tym nie ma końca Lizzie.

Bo Nella często nazywała swą matkę po imieniu; były raczej ze sobą jak dwie siostry.

Matka miała lat trzydzieści sześć, a wyglądała na trzydzieści najwyżej.

Pani Chetwynd była bardzo ładna: mała blondynka z oczyma niebieskiemi, o wyrazie dziecinnym niemal. Zachowała nawet bezradność i naiwność dziecięcą.

Nie miała ducha samodzielności i inicyatywy w sprawach nawet dotyczących jej własnej osoby; w zamian obdarzona była sercem szlachetnem i duszą subtelną.

Troski gospodarcze spoczywały wyłącznie na barkach Nelli. Panienka ta, pomimo wrodzonej żywości, była rozważna nad wiek, łagodna i dziwnie rozsądna.

Nie można jej było nazwać piękną, ani nawet ładną. Włoch określiłby ją słowami: „molto simpatica“, Anglik uznałby, że jest „a jolly little girl“. Była wzrostu średniego, zgrabna, proporcyonalna, miała włosy kasztanowate, bardzo bujne i długie, oczy piwne, płeć przezroczystą, usta ponsowe, gotowe zawsze do uśmiechu i ukazujące w nich ząbki białe. Z całej osoby wiał wdzięk i urok, któremu podlegali wszyscy.

— I cóż nam dasz na obiad? — spytała matka, przypatrując się, jak dziewczę wyjmowało prowianty z koszyka.

— Zupę a la Julienne, pieczeń cielęcą, groszek, młode kantofle, pudding ze śliwkami, ser i poziomki — wyrecytowała Nella z szybkością restauracyjnego garsona.

— Zdaje mi się, że Leslie wolałby drób — szepnęła pani Chetwynd nieśmiało — a wspominał też o łososiu.

— Przykro mi bardzo, mateczko — odparła młoda gosposia — dziś nie możemy sobie pozwolić na ten zbytek. Trzeba myśleć o jutrze i o ranku sobotnim, a niestety, drugiej pary kandelabrów bronzowych już nie ma.

Pani Chetwynd westchnęła.

Nie martw się, Lizzie — pocieszała ją córka — w niedzielę będzie pularda, łosoś a i szparagi w dodatku.

Panienka ucałowała matkę serdecznie i pieściła ją, jak dziecko.

— Myślę, że ta nasza niedola jest tylko chwilową — odparła matka. Drzwi się z lekka otworzyły i wszedł Warrie, ofiarowując się z pomocą do przygotowywania obiadu.

— Chwilową mateczko! Ależ, o ile pamiętam, od lat sześciu nie bywało u nas inaczej. Dziwnem się nawet wydaje, gdy są pieniądze, prawda, Nella? — mówił Warrie.

— Istotnie, wtedy nam jakoś nieswojo — potwierdziła panienka.

— No, Nell, czy chcesz, żebym ci pomógł groch łuskać?

— Poczciwy z ciebie zawsze chłopiec, Warrie, ale łuszcz uważnie, bo rozsypujesz na ziemię.

— To mi daj fartuch, serwetę lub cobądź, żebym mógł przykryć kolana. Postaw mi pod rękę wszystko, co trzeba.

— Jakże się cieszę, że droga Izabela nie dzieli z nami tych kłopotów — mówiła pani Chetwynd. — Zdaje się, że jej dobrze u tych Maitlandów.

— O tak zawołała Nella — lepiej daleko, niżby jej było w tym ponurym zamku w Bretanii, ze starą, kapryśną hrabiną, a w dodatku z jej rozkochanym wnukiem, garbuskiem.

— A jednak żal mi bardzo, że taką partyę odrzuciła — rzekła pani Chetwynd, dodając, iż pomimo swego kalectwa, hrabia wstrętnym nie jest.

— Ależ ona go nie kochała, mateczko i dobrze robi, że za człowieka niekochanego wychodzić nie chce — zawołała Nella — ja wiem, żebym nigdy nie wyszła za garbuska.

W chwili tej odgłos dzwonka przerwał rozmowę.

Nella poszła otworzyć drzwi i wedle dawno przyjętego zwyczaju, zbliżyła się do drzwi na paluszkach i wyjrzała przez dziurkę od klucza.

— Depesza! — zawołała, otwierając pospiesznie.

Na takie oznajmienie pani Chetwynd zbladła i osunęła się na kanapę.

Nella dała kilka soldów roznosicielowi telegraficznemu i wróciła do salonu z otwartą kopertą i doniesieniem, że Izabela wraca i nazajutrz rano przybędzie.

Pani Chetwynd spojrzała na córkę z przerażeniem.

— Cóż to się stać mogło? — rzekła. — Tylko co właśnie winszowaliśmy sobie, że z nami naszych kłopotów nie dzieli, i oto spada, jak z nieba.

W tem musi być coś złego. Może ją spotkało jakie nieszczęście, może chora.

Siódma biła na zegarze, gdy pan domu stuknięciem laską o drzwi powrót swój obwieścił.

Leslie ucałował czule żonę i pasierbicę, a syna poklepał po ramieniu, następnie padł na fotel, oczy zamknął i westchnął głęboko.

— Jesteś blady, zmęczyłeś się pewnie — szepnęła żona z tkliwym niepokojem, siadając przy nim i ściskając go za rękę.

— Mam mnóstwo kłopotów, Lizzie — odparł. — Czuję się bardzo zgnębiony i nieszczęśliwy.

— O! nie mów tak, Leslie, błagam cię, nie trać otuchy; może też i dla nas lepsze dni zabłysną!

— Ależ z pewnością zabłysną i to niebawem — wtrąciła Nella, przynosząc zupę — póki życia, póty i nadziei tracić nie trzeba.

— Po burzy zwykle się niebo rozjaśnia — odezwał się Warrie, dorzucając swój kontyngens filozoficzny do ogólnej dozy pociech, tak niezbędnych dla umocnienia na duchu zmordowanego pracownika, który się zawsze za ofiarę losu uważał.

— Chodźmy do stołu, ojcze — przerwała Nella. — Pokrzepisz się na ciele, to i duch się wzmocni.

— Bardzo jesteś osłabiony, biedaku, zapracowujesz się dla nas — biadała żona.

— Istotnie, pracowałem, jak murzyn — jęknął nieszczęśliwy męczennik.

— I dostałeś z pewnością złe śniadanie?

— Okropne! poprostu obrzydliwe. Ale cóż można żądać za franka pięćdziesiąt centymów?

Wreszcie pan Chetwynd dał się uprosić i zasiadł do stołu

Był to mężczyzna wysoki, szczupły, powierzchowności i manier wielkopańskich, wydawał się młodszym, niż był. W ruchach jego i słowach przebijała wytworna uprzejmość. Podczas obiadu spostrzegł brak świeczników.

— Widzę — rzekł do Nelli — że smutna konieczność zmusiła was znowu szukać ratunku w lombardzie.

— Niestety, tak — odparła żona z rezygnacyą.

Przykro mi to bardzo, boleję serdecznie.

— Miejmy nadzieję, że ten czas próby niebawem minie — odezwał się po chwili milczenia Chetwynd, który zawsze przy smacznym obiedzie nabierał otuchy. Ciągnienie loteryi miejskiej dziś się odbędzie, mam przeczucie, że wielki los wygram; lista urzędowa jutro się pojawi.

— Byłabym uszczęśliwiona, gdybyśmy wygrali jakikolwiek los, bodaj najmniejszy — westchnęła pani Chetwynd. — Ze trzysta franków w okolicznościach obecnych byłoby dla nas dobrodziejstwem prawdziwem.

(C. d. n.)

Tak samo jak w ludziach, widzimy różnice i w ziemi, zamieszkiwanej przez nich.

Oko przywykłe do rozległych równin i szarych piaskowych wydm mazurskich, z lubością przygląda się żywej zieloności i wzniesieniom, pokrytym czarnym lasem. Ziemia dobra, z czego i dostatek widny w całym obszarze.

Niegdyś, gdy pełne barki spławiały zboże polskie do Prus, włościanie kujawscy byli tak zamożni, iż beczkami trzymali talary w komorze. Ile w tem prawdy — nie wiadomo, dość, że i teraz włościanie kujawscy zamożniejsi są od włościan z innej części kraju.

Dawne, bardzo znamienne chaty kujawskie, co to u węgła tworzyły „przyłap“ czyli okap wysunięty naprzód, są coraz większą rzadkością. Za przykładem kolonistów niemieckich, gęsto osiadłych, a zwanych przez lud „olendrami“, stawiają zabudowania z cegieł i kryją papą lub dachówką. Zwykle naprzód stawiają obórki i komory, a potem dopiero dom mieszkalny.

Tak to tłomaczył chłop pewien:

— Zrosłem ci ja tutaj i ojciec mój w niej się wychował; pobudował ją dziad, toć i żal człowiekowi zmarnować pracę dziadową... Niech ta jeszcze postoi!

Zapytano go na to:

— A jakże się nosili wasz dziad i ojciec?

— W siermiędze chodzili, panoczku!

— Więc dlaczego wyrzuciliście ten strój i przywdzieliście kusą marynarkę.

Chłop skrobnął się za ucho i mówi:

— Wszyscy tak chodzą, a i te olendry śmieją się z człeka, gdy sukmanę nadzienie.

Chłop miał słuszność. Koloniści wiele temu winni, że lud kujawski porzuca strój ojców. Wiele innych jeszcze win przypisać im można. Ale oprócz wad, Kujawiacy też wiele im zawdzięczają. Od nich nauczyli się praktyczności i za ich przykładem nie bardzo dają się powodować żydom; od nich przejęli zamiłowanie czystości i chęć jakiej takiej oświaty; polubili kwiaty i nauczyli się zakładać sady i ogródki.

Jak w życiu, tak i w języku spotyka się dużo naleciałości niemieckich; tak np. niektórzy pracę całodzienną nazywają „tagelka“, śniadanie — „frysztykiem“, „harnadlami“ — szpilki podwójne do włosów, „szachulcem“ — budulcowe belki drewniane, zamiast precz — mówią „fort“, zamiast zupełnie — „dycht“, „dubelt“ — zamiast podwójnie, zamiast tak — „ja“, „recht“, „rychtyg“ itd.

Włościanie tak bardzo porzucają siermięgi, iż coraz trudniej spotkać można chłopa, przywdzianego w długą, granatową „kierezyę“ z kapturem, albo też w sukmanę, otoczoną czerwonym brzegiem i w spodniach czerwonych w żółte lub zielone paski. Wyciągają spodnie z cholew, zakładają kołnierzyki i zawieszają krawaty. Coraz rzadziej zdarza się spotkać kobietę w króciutkiej sukmance z widocznemi czerwonemi rękawami koszuli.

Kobiety jakoś bardziej przywiązały się do dawnego stroju. Za nic nie chcą porzucić czepców swoich, zwanych „kapkami“, a ulubionemi kolorami spódnic są czerwony, zielony, niebieski i żółty. Niekiedy związują chustki w kształcie czepka, z tyłu głowy, i tem się różnią od kolonistek, które zawsze wiążą je pod brodą.

Gdy w niedzielę lub święto lud zbierze się w kościele, widać różnobarwną masę głów, w której jednak kolor „czerwony“ zawsze prym trzyma.

Mężczyźni w dni świąteczne mają zwyczaj smarować włosy smalcem, woń którego w połączeniu z wyziewem potu, pobyt w świątyni porą letnią czyni prawie niemożebnym.

Podczas nabożeństwa lub procesyi lud zwykle śpiewa pieśni nabożne. Kujawiacy słuch mają wyborny i śpiewają bardzo dobrze.

W polu nie rzadko widzieć można chłopaka pasącego bydło, jak trzyma w ręku skrzypkę, własnego wyrobu i gra co jeno zechcesz. Malec taki z pastucha wyjdzie na chłopaka, średniaka, parobka, wówczas skrzypka w kąt idzie i dlatego starzy grać nie umieją. Ale zamiłowanie do tańca i śpiewu pozostaje zawsze.

Kujawiacy są rzetelni i nabożni. Do kościołów uczęszczają chętnie i tłumnie, własnym kosztem je odnawiają, budują figury i „Boże Męki“. Starzy włościanie nabożniejsi są jednak od młodych. Gdy przechodzisz, stary prawie zawsze przywita cię słowami: Pochwalony Jezus Chrystus!

Kujawiacy są również gościnni i za wypite w chacie mleko i chleb zjedzony zapłaty brać nie chcą.

Oddawna ich ulubioną ranną potrawą jest „żur“. Na podwieczorek jadają zwykle „gzik“, czyli twaróg ze szczypiorkiem i mlekiem; teraz piją herbatę lub kawę.

Obiady jedzą wszyscy z jednej miski. Ustawiają ją pośrodku na niewielkim stołku lub stole, obsiędą naokół i jedzą z niej oddaleni przynajmniej półtora kroku. Trzeba mieć wielką wprawę, aby, przenosząc łyżkę do ust, nie zgubić w drodze całej jej zawartości.

Do obiadu siadają wszyscy razem i gospodarstwo i parobcy i dziewki. W przeciwnym razie uważano by to sobie za obrazę i czeladź gotowa by się zrzec służby. Po kolacyi w niektórych chatach czytają książki, a ulubioną przez nich jest historya polska „w 24 obrazkach“ Anczyca.

Bardzo wielu umie czytać i pisać, szczególniej mężczyźni, lecz, mimo książek, ciemnota wielka panuje jeszcze wśród ludu. Włościanka, mając o pół mili dentystę, gotowa mil parę jechać do baby, która leczy zażegnywaniem. Babę ową zowią „zębarką“ i mieszka gdzieś koło Osięcin.

Zaślepiony chłop woli wierzyć w wszechmoc owczarza, niźli w mądrość doktora. Szczepienia ospy boją się jeszcze trochę, ale już nie tak, jak dawniej. Gdy leczą na „ograżkę“ (febrę), biorą sznurek i wiążą na nim tyle supełków, ile razy febra ogroziła“, rzucają go po za siebie w gnojówkę przymawiając po trzykroć: „Zdrowaś Marya, niechże złe mija!“ — poczem szybko wracają do chałupy i zamykają drzwi i okna. Ograżka jest zła, gdy dogoni, zatrzęsie jak grusza i z nóg zwali.

Febrę leczą jeszcze inaczej. Biorą trzcinę, chuchają w nią „siedmkroć“ i otwory zabijają kołeczkami. Uwięziona tym sposobem ograżka już się człowieka nie ima -- powiadają.

ROZMAITOŚCI

Modlitwa królowej. Słynny malarz włoski Salvatore Morelli, ma zamiar modlitwę ułożoną przez królowę Małgorzatę na śmierć króla Humberta zilustrować w ogromnym obrazie, który następnie zreprodukowany w majolice, wystawiony będzie w kościele San Francesco da Paola.

Kobiety w służbie pocztowej. Nie od dziś kobiety pełnią funkcye na pocztach. Zanim jeszcze słyszano o emancypacyi, bo już w r. 1548 w Branie le Comte, ważnym punkcie węzłowym, w którym schodziły się poczty francuskie w miejscu, gdzie obecnie krzyżują się linie: Paryż-Bruksela i Lille-Namur, urząd pocztmistrzyni sprawowała kobieta. Od r. 1628 do 1648 Aleksandra de Rye stała na czele wszystkich poczt w Niemczech, Niderlandach i Lotaryngii. Pełniła te trudne funkcye podczas wojny trzydziestoletniej. W Ameryce pierwszymi urzędnikami w nowozałożonych pocztach były kobiety. Lydya Hill pocztmistrzyni w Salem, zmarła w r. 1768, Elżbieta Horwey była na początku XVII w. pocztmistrzynią w Portsmouth. Podczas Restauracyi wiele kobiet służyło na poczcie we Francyi i Anglii.

Ulubione klejnoty monarchów. Jeden z dzienników paryskich wylicza klejnoty, jakie noszą z upodobaniem różni monarchowie. Królowa Wiktorya nosi bardzo dużo biżuteryi, między innemi posiada naszyjnik złoty z perłami, który waży prawie trzy funty. Krolowa holonderska Wilhelmina nosi tylko butony brylantowe. Hiszpańska królowa rejentka posiada 174 pierścionki, zmienia je też na palcach 6 razy dziennie. Cesarz Wilhelm nie rozstaje się nigdy z wązką złotą bransoletką. Zamordowany król Humbert nosił zawsze łańcuszek z platyny ze szkaplerzem. Król belgijski Leopold posiada cenny zbiór starych zegarków, z których jeden należał ongi do Maryi Antoniny i jest arcydziełem nieoszacowanej wartości. Sułtan nosi koszulkę z siatki złotej i srebrnej, a palce ma okryte pierścieniami najrozmaitszych kształtów.

Język błękitny. Niejaki p. L. Boilack wynalazł nowy język międzynarodowy i nazwał go „błękitnym“, czyli językiem Bollak. Alfabet składa się z 19 liter zaledwie; reguły gramatyczne bardzo proste; niema wcale wyjątków. Można się nauczyć czytać tym językiem w trzy minuty, tłómaczyć z niego — w trzy godziny, a po trzech tygodniach każdy potrafi nim mówić. Wynalazca spodziewa się, że wyruguje volapück.

Najnowszym sportem w Anglii oraz Irlandyi jest obecnie jazda dyliżansami. Właściciele hotelów prowincyonalnych powyciągali z wozowni stare landary, lub też kazali porobić nowe na wzór dawnych. Pewna firma obstalowała 14 dyliżansów, dając na model pojazd, który przed rokiem uważany był za niepotrzebne rupiecie. Amerykanie i Australczycy rzucili się do tego sportu skwapliwie. 10.000 Jankesów zamówiło już sobie miejsca w dyliżansach angielskich w ciągu bieżącego lata.

Wpływ pogody na wydajność mleka. Prof. Dickson zrobił w szkole rolniczej w Bethonval następujące spostrzeżenia nad wpływem atmosfery na wydajność mleka u krów. Czynność gruczołów mlecznych jest tem żywsza, a równocześnie ilość wydzielanego mleka tem większa, im wilgotność powietrza stoi bliżej punktu zupełnego nasycenia, gdyż wówczas wydzielanie wody przez płuca i przez skórę jest najsłabsze. Zimne deszcze zmniejszają wydzielanie mleka, jak i ilość tłuszczu w mleku. Po za pewną granicą wysokiej temperatury, ilość wydzielanego mleka się również zmniejsza, zawartość tłuszczu nie zmienia się jednak znacznie. Po zimnej pogodzie znajdowano podczas ciepłych deszczów lub w dniach gorących w litrze mleka 3 do 5 gramów tłuszczu mniej, lub więcej. Na wiosnę i w lecie przebywanie na pastwisku tylko u niektórych krów powiększa wydajność mleka

Chińczycy w Londynie tworzą osobną dzielnicę, mieszka ich bowiem w stolicy Anglii około 3000. Dielnica ta znajduje się w East-End. Jeden ze współpracowników „English Magazine“ zwiedził szczegółowo tę część Londynu i wrażeniami swemi dzieli się z czytelnikami tego pisma Widocnie Chińczykom musi się dziać w Londynie badzo dobrze, żaden bowiem nie myśli o powrocie do ojczyzny, wszyscy zaś objawiają żywe skłonności do przyjęcia zwyczajów i obyczajów angielskich. Wszyscy mówią poprawnie po angielsku, a nawet nazwiska starają się przerabiać na sposób angielski. Tak np. Lum-Yat-Wah stara się być Johnem Chance, Wang-Chun-Wei zaś na bruku londyńskim usiłuje się nazwać Charles-King.

Wielu z nich żeni się z Angielkami, ubogiemi kobietami, które zawierają związki małżeńskie dla kawałka chleba. W dzielnicy chińskiej w Londynie znajduje się ośm palarni opium, do których uczęszczają chętnie nietylko synowie państwa niebieskiego, ale i rodowici Anglicy z najuboższych dzielnic stolicy nad Tamizą.

Klub Europejczyków w stolicy Chin. Fernando de Olmat, były członek ambasady hiszpańskiej w Pekinie, opowiada w jednym z dzienników madryckich historę powstania w stolicy Chin klubu Europejczyków, założonego przez nieżyjącego już dziś b. posła niemieckiego, barona Kettelera. Do niedawna w Pekinie były tylko cztery poselstwa: rosyjskie, najdawniejsze angielskie, francuskie i amerykańskie. Dyplomaci zagraniczni prowadzili w stolicy Chin bardzo monotonny tryb życia, który zmienił się niewiele nawet po znacznem pomnożeniu liczby poselstw. Stosunki towarzyskie były sztywne, nie łączono się w kółka dla wspólnej rozrywki. Dopiero zamordowany zdradziecko przez bokserów baron Ketteler zdołał w drzemiące życie towarzyskie pekińskiego kółka dyplomatycznego tchnąć życie nowe. Po zwalczeniu wielu trudności, stawianych przez właścicieli gruntów i domów, udało się wreszcie posłowi niemieckiemu nabyć marny barak w sąsiedztwie „ulicy poselstw“.

Żony i córki poselstw zajęły się jakiem takiem umeblowaniem nowego przybytku życia towarzyskiego i oto powstał klub, który później rodzinom dyplomatów w Pekinie dostarczał niejednokrotnie sposobności do ożywionego przepędzania czasu. Między innemi urządzano tam w miesiącach zimowych ślizgawkę, na której łyżwowano zawzięcie, ku wielkiemu zgorszeniu okolicznych mieszkańców, którzy natarczywie domagali się od władz swoich zniesienia djabelskich urządzeń w klubie poselskim.

Drobny ten szczegół był niejednokrotnie przedmiotem najzupełniej poważnie przez władze chińskie traktowanych zatargów dyplomatycznych. W rb. baron Ketteler zamierzał wybudować gmach osobny, godny nazwy „klubu dyplomatów“ w Pekinie. Śmierć jego odwlokła projekty na czas prawdopodobnie dłuższy.

Kalendarz.

W niedzielę 2 września Justa B. -- Samuiła Pr.

Wschód słońca 2 września o godź. 5 min. 25 zachód o godź. 6 min. 33

W poniedziałek 3 września Izabeli i Br. — Ftadeja Ap

Wschód słońca 3 września o godź 5 min. 27. zachód o godź. 6 min. 31.

OFIARY

Na odbudowanie klasztoru w Częstochowie złożyli w naszej administracyi WP. J. Matkowski z Turówki 2 kor WP. Tadeusz Krzysztofowicz z Jozefówki 10 kor. WP. Daniłowicz z Sambora 64 kor.

Na powodzian złożyli w kasie wydziału rady powiatowej lwowskiej: ks. arcybiskup Isakowicz 40 kor. WPani Jarosiewiczowa z Tarnopola 6 kor.